NOWY
DZWONEK.

PISMO MIESIĘCZNE.

Rok XXV. Marzec — 1918. — Nr. 3.

NAKŁADEM WYDAWCY.
KRAKOWSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA W KRAKOWIE.

Adres redakcyi: Kraków ul. Powiśle l. 12.

Kalendarzy żadnych na składzie nie mamy, ani ich nie sprzedajemy.

Życzliwych nam Czytelników

prosimy o rozszerzanie „NOWEGO DZWONKA“ między znajomymi i zachęcanie ich, aby sobie to pismo zaprenumerowali.

Prosimy także wszystkich Przyjaciół naszego pisma aby wspomagali nas **osobnymi naddatkami** na **„fundusz wydawniczy“** dla „Nowego Dzwonka“. Samą bowiem prenumeratą, niepodobna dziś, przy wielkiej drożyźnie papieru, druku i t. p. pokryć wszystkie koszta pisma, a my nie mamy żadnych funduszów na dopłacanie do pisma.

Kto dziś wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Jeżeli kto nie otrzyma „Nowego Dzwonka“ w swoim czasie, a najpóźniej 3 lub 4 dni po 1-ym dniu w miesiącu, niech najpierw upomni się o niego u swego Urzędu pocztowego i zwróci mu uwagę, że pismo do rąk jego nie dochodzi, a nas niech zawiadomi reklamacyą, że tego a tego numeru pisma nie otrzymał.

Reklamacyę pisze się na kartce papieru, daje się ją do koperty, na kopercie w górze pisze się: Reklamacya, a niżej adres do Redakcyi. Koperty się nie zalepia. — Reklamacyi się nie opłaca.

Rocznik XXV. Kraków 1. Marca 1918. Nr. 3

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE

WYCHODZI RAZ W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA 1-go.

Prenumerata „NOWEGO DZWONKA“ wynosi w Austryi na rok: 5 koron — półrocznie: 2 korony 50 hal. — Do Niemiec na rok: 6 koron. — Do Ameryki rocznie 2 dolary. — Numer pojedynczy: 50 hal.

Adres: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Szan. Czytelników, którzy dotychczas nie uiścili prenumeraty na rok bieżący, zawiadamiamy, że jeżeli jej w tym miesiącu nie nadeślą — wstrzymamy im w takim razie dalszą przesyłkę „Nowego Dzwonka“.

Straszna krzywda!

Nowy podział Polski.

Ani się to pojąć nie da, ani słowami opisać, jaka boleść zapanowała w sercach i umysłach wszystkich Polaków, od najbiedniejszego robotnika do najbogatszego magnata, gdy nadeszła z Brześcia litewskiego dokładniejsza wiadomość o warunkach pokoju zawartego 9 lutego b. r. między Austryą i Niemcami, a pewną częścią rozpadającej się Rosyi, czyli tak zwaną Ukrainą.

Przy określaniu granic dla tej Ukrainy od strony Polski, zgodziły się mocarstwa centralne, by pół gubernii lubelskiej i połowa gubernii siedleckiej, czyli Chełmszczyzna i Podlasie oddane zostały nowopowstałemu państwu ukraińskiemu, a więc od Królestwa polskiego oderwano żywcem znaczne obszary ziemi z ludnością przeważnie polską i katolicką, należące do Polski od kilku wieków.

Zrozumiałą teraz jest rzeczą, że wieść o nowym podziale Polski wywarła w całej naszej Ojczyźnie takie przygnębiające wrażenie, jakiego dawno już w Polsce nie było. Wiele osób oniemiało wprost na tak haniebną i bolesną wieść, a byli i tacy, którzy się rozpłakali.

Nie płaczu i rozpaczy nam jednak potrzeba; nie przystoi nam dziś małoduszność; rozumu i czynu nam trzeba! Tak mówili mężowie poważni na zebraniach w Krakowie i we Lwowie; a przedewszystkiem jedności i zgody!

Dzięki Bogu, jedność ta i zgoda zapanowała już i u nas i w Królestwie. Niema dziś stronnictw, niema stańczyków, demokratów, i ludowców; jest tylko jedno stronnictwo polskie.

Wszystkie partye polityczne porzuciły teraz swe spory stronnicze i stanęły w jednym szeregu do obrony Ojczyzny,

Podobne rezolucye uchwalono i we Lwowie. Tegoż dnia też prezydyum Koła polskiego w Wiedniu założyło protest u prezydenta ministrów Dra Seidlera, a nazajutrz uczynili to samo

polscy członkowie Izby panów przez usta hr. Gołuchowskiego. Jedni i drudzy oświadczyli też rządowi, że przechodzą do opozycyi w obec rządu.

Prezydyum miasta Krakowa wydała nadto odezwę do młodzieży, która zaczęła urządzać demonstracye uliczne, z przestrogą, by się nie dała porywać wrazeniom chwili, by nie dopuszczała do rozlewu krwi, bo Komitet wszystkich stronnictw opracował już sposób silnego a godnego chwili protestu.

Naczelny zaś Komitet wybrany przez wszystkie stronnictwa polskie, wezwał ogół mieszkańców Galicyi, by się ściśle stosował do wskazówek, które on poda i czekał hasła. Trzeba nam się skupiać i przygotowywać do jednolitego, solidarnego czynu.

W podobny sposób odzywa się rząd polski w Warszawie w urzędowym dzienniku, w „Monitorze polskim“ z dnia 12 lutego. „Na spotkanie ciężkich wydarzeń“ — czytamy tam — „wyjść trzeba w całej spokoju potędze. Zaniechać trzeba wszelkich uraz, wszelkich wewnętrznych swarów, porachunków. Naród wytworzyć musi jeden, jednolity front. Stanąć musi jeden zbiorowy program: Jedność narodu, jedność postanowienia i czynu, one tylko ocalić nas jeszcze mogą i przywrócić powagę wśród narodów.“

Z tych słów widać jasno, że ciężkie jakieś chmury zebrały się ostatnimi czasy nad Polską. Przez rozbicie się na niezliczone stronnictwa osłabiliśmy siłę naszą, straciliśmy na znaczeniu, i to może jest głównym powodem, że wrogowie nasi szafują polską ziemią, nie pytając się nas, co my na to powiemy.

Urwali nam już spory szmat Ojczyzny, a podobno myślą o dalszem uszczuplaniu ziem polskich, niby dla uregulowania swych granic.

Pokażmy światu i teraz jeszcze, że nie damy sobą pomiatać, że Polska jak nam była, tak jest i będzie drogą i, że jej bronić będziemy, co nam sił starczy.

Tak nam Panie Boże dopomóż!

Z chwili bieżącej.

Pogawędka i kilka uwag o różnych sprawach.

W chwili, gdy zabierałem się do pisania tej mojej pogawędki, wpadła mi do rak odezwa pań ze dworów, czyli naszych ziemianek, nawołująca w serdecznych słowach inne ziemianki i cały lud wiejski do składania ofiar w artykułach żywnościowych dla biednej i z głodu ginącej ludności miejskiej.

Wiemy wszyscy jak wielka jest dziś nędza po miastach, zwłaszcza u tych biedaków, którzy ani pensyi, ani zasiłków żadnych nie mają, a zarobić nie mogą, czy to z powodu choroby, lub starości, albo z innych jakich przyczyn.

To też śmiertelność dziś po miastach wielka, zwłaszcza wśród starców i dziatwy. Patrzeć obojętnie na tę nędzę, zajadać się a nie pomyśleć o nędzarzach w mieście, byłoby wielkiem barbarzyństwem, wielką nieludzkością, dlatego każdy wieśniak, każda wieśniaczka powinna ofiarować dziś, na ile kogo stać, po 1, po 2, lub po 3 kilo, czy to mąki, czy grochu, czy kaszy, lub innych artykułów żywnościowych dla tych bliźnich chrześcijańskich, którzy w miastach głód i biedę cierpią.

Wiadomem zaś jest, że w miastach nawet i ci, co trochę grosza mają, głód cierpią, bo trudno o kupno żywności, gdyż codziennie dalej i Niemcy i różni spekulanci wagonami całymi żywność z kraju naszego wywożą.

Pomódz więc żywnością naszym rodakom w miastach — to obowiązek chrześcijański i narodowy dla każdego rolnika, tak większego, jako i mniejszego.

Obowiązek to chrześcijański, bo nas uczy nasz Kościół, nasza Wiara, że cokolwiek uczynimy bliźniemu, tu na ziemi, to nam policzone będzie jako zasługa w życiu przyszłem.

A nakarmienie głodnego, to jeden z tych uczynków, według którego sądzić będzie kiedyś ludzi Sędzia Przedwieczny. Bliźnim zaś naszym najbliższym jest przedewszystkiem nasz spółrodak, Polak, każda Polka, bo to brat nasz, siostra nasza w polskiej rodzinie.

Ratować tych braci, te siostry, to obowiązek także narodowy, od którego nikt się uchylać nie powinien, kto go tylko spełnić może.

Z drugiej zaś strony wrogami własnego narodu, można powiedzieć, że nawet zdrajcami Ojczyzny są ci Polacy, którzy dla większego zysku sprzedają żywność różnym ajentom i spe-

kulantom, a ci ją wywożą po za granice kraju, by żywić wrogów naszych.

Cóż pomogą te wszystkie pisaniny po gazetach, te krzyki na różnych zebraniach, że ajenci wykupują żywność w kraju i wywożą ją za granicę. Galicyi, jeżeli między nami są tacy, którzy dopomagają tym ajentom i spekulantom do wygładzania własnych rodaków, sprzedając im, a nie swoim, artykuły żywnościowe.

Polskę ogładzają sami Polacy; ci Polacy i te Polki, czy to rolnicy, czy rzeźnicy, i t. p., którzy dla większego zysku, wyroby i produkty swoje różnym spekulantom sprzedają, choć wiedzą dobrze o tem, że ci skupują je na wywóz za kraj.

Bez czci i wiary, bez sumienia są więc ci wszyscy, którzy zamiast ratować swoich, żywią wrogów naszych, bo tacy pracują na szkodę i zgubę własnego narodu.

Za wrogów Ojczyzny i za pogan uważać też trzeba owych ludzi po miastach i wsiach, którzy dorobiwszy się grosza w czasie tej wojny, trwonią ten grosz na pijatyki po szynkach, kawiarniach lub karczmach i wydają niebywałe kwoty na stroje i na różne zbytki.

Słyszeć ciągle o nędzy drugich, widzieć tę nędzę i mimo to bawić się, lub stroić i kupować rzeczy wcale niepotrzebne, to zaiste pogaństwem jest i brakiem wszelkiego uczucia ludzkości.

A takich pogan mamy dziś dużo w społeczeństwie naszem!

Sądzę jednak, że się może poprawimy, w obec tego nieszczęścia narodowego jakie nas w tych czasach niedawnych spotkało

Protest i przysięga całego narodu.

„Podnosimy przed Bogiem i przed światem, przed obliczem ludzi i przed trybunałem dziejów, przed ludem niemieckim i przed ludami Austro-Węgier, głos nasz, protestując przeciwko nowemu rozbiorowi, odmawiając mu swego uznania, piętnując go jako akt przemocy“.

Tak mówi Rada regencyjna w Warszawie o wydarciu Polsce Chełmszczyzny i Podlasia, a mówi w imieniu całej Polski, w imieniu całego narodu polskiego.

Głosi dalej Rada regencyjna, że przez ten akt przemocy, spełniony na narodzie polskim w Brześciu litewskim, unicestwione i pogwałcone też zostały akty monarsze, na których opierało się wskrzeszenie wolnej, niepodległej Polski, dlatego Rada regencyjna, widzi teraz, i słusznie, źródło swej władzy, już nie w aktach monarchów, ale w woli narodu, który chce posiadać symbol (znak) swej niepodległości i około niego się skupić.

I dobrze się stało, że Rada regencyjna nie zrzekła się po bezprawiu państw centralnych swej władzy, bo państwa te objęłyby zaraz w swe ręce całą władzę nad nieszczęśliwą Polską, a powtóre, Rada regencyjna obejmując swego czasu władzę, przysięgła Bogu i narodowi, że stać będzie na straży szczęścia, wolności i siły Polski.

Ciężkie zadanie wzięła na siebie Rada regencyjna, ale niech ma tę pociechę, że chociaż do niedawna nie wszyscy może w Polsce uznawali ją jako najwyższą władzę narodową — to dziś jest inaczej, bo dziś cały naród uznaje w niej przedstawicielstwo niepodległości polskiej.

Nie mniej poważnie, stanowczo i uroczyście zaprotestował przeciw niemieckiemu gwałtowi galicyjski Wydział krajowy i posłowie polscy w Radzie państwa i w Izbie panów, a z nimi Rady miejskie wszystkich miast, miasteczek i gmin wiejskich w Królestwie i Galicyi, oraz różne instytucye i stowarzyszenia, nie wyłączając nawet gmin i stowarzyszeń żydowskich, które w tej ciężkiej dla nas chwili ogłosiły, że pojmując ból narodu polskiego, łączą się z jego protestem.

Ogólnym dniem protestu całej Galicyi był dzień 18 lutego, w którym zapanowało powszechne bezrobocie, i jakby w największe święto wszystkie szkoły, urzędy i sklepy były pozamykane.

W godzinach porannych odprawiali kapłani w kościołach nabożeństwa na uproszenie u Boga siły do wytrwałości w nieszczęściu, a po nabożeństwach odbyły się już to w salach, już na placach publicznych olbrzymie zebrania Polaków i Polek — wszystkich stanów, w czasie których

poczem zebrani wszyscy ślubowali według ułożonej formuły, że wszelkimi środkami walczyć i dążyć będą, do zdobycia zjednoczonej i nieuszczuplonej Polski.

Nader wspaniale, poważnie i rzewnie wypadły te zebrania i przysięga na Rynku krakowskim, gdzie już raz przed stu laty przysięgał Kościuszko, a dziś podobną przysięgę powtarzały tysiączne rzesze Krakowian i ludu okolicznego.

Wojna i pokój.

Od dłuższego już czasu nie było większych bitew na froncie francuskim. Piszą wprawdzie często o wzmożonym ogniu, ale są to przeważnie mniejsze walki artyleryi.

Na froncie włoskim udało się Włochom, według doniesień ich gazet, zdobyć i odebrać Austryakom dwie góry na wschód od Asiago, przyczem dwie dywizye austryackie zupełnie zniszczyli. Oprócz 100 oficerów zabrali Włosi do niewoli 2500 żołnierzy, zajęli 6 armat, około 100 karabinów maszynowych i znaczną liczbę innej broni.

Dość często piszą dziś gazety, że na polu walki nie zaszło nic ważnego. Myliłby się jednak każdy, ktoby sądził, że się tam nic nie robi. Przeciwnie, jest to cisza przed burzą. Po obu stronach czynią tam wielkie przygotowania.

Włosi gromadzą nowe znaczne siły na wyżynie Asiago, tudzież między rzekami Brenta i Piawe. Do Francyi przybyły już znaczne siły wojsk amerykańskich i zajęły już na froncie wyznaczony im przez główne dowództwo odcinek.

Na froncie tedy włoskim i francuskim toczyć się będą dalej w tym roku walki i to jeszcze straszniejsze i krwawsze, niż dotąd.

Rada wojenna koalicyi, która obradowała w Wersalu pod Paryżem od 30 stycznia do 2 lutego, uznała, że koalicya musi dalej prowadzić wojnę, aż pod jej naporem nastąpi zmiana w zapatrywaniach rządów państw centralnych, która umożliwi widoki pokoju i poszanowania dla prawa międzynarodowego.

Państwa koalicyjne zobowiązały się nadto do popierania wzajemnego swych narodowych celów wojennych. Anglia i Francya popierać będą na ogólnym kongresie pokojowym żądania Francyi co do Alzacyi i Lotaryngii, Francya zaś i Anglia popierać będą żądania włoskie dotyczące południowego Tyrolu, Gorycyi, Tryestu i Dalmacyi. Pewnem też jest, że i Amerykanie walczyć będą energicznie dla odebrania Niemcom Alzacyi i Lotaryngii i oddania napowrót tych krajów Francyi.

„Trzeba uczynić wszystko, aby koalicya zwyciężyła“, mówił pewnego dnia z początkiem lutego b. r. Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki do rolników amerykańskich, i wzywał ich, aby zapewnili krajowi obfite żniwa, któreby i Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom oszczędziły najcięższych trosk o żywność.

Wszystko to wskazuje, że wojna nie rychło się jeszcze skończy na froncie zachodnim.

Nie jasnem jest też jeszcze położenie wojenne na Wschodzie. Rokowania pokojowe z Rosyą, które się rozpoczęły z końcem grudnia roku ubiegłego nie doprowadziły do prawdziwego pokoju z Rosyą.

Delegaci rządu rosyjskiego, sami bolszewicy, skrajni socyaliści i żydzi, domagali się, aby tak w Polsce jak i w innych krajach zdobytych na Rosyi a zajętych przez Niemcy i Austryę, lud sam przez głosowanie powszechne ogłosił swą wolę należenia do tego lub owego państwa, lub do nikogo, i aby armia niemiecka oraz austryacka przed tem głosowaniem opuściły zajęte kraje.

Na te żądania nie zgodzili się ani niemieccy ani austryaccy delegaci pokojowi, a widząc, że z delegatami rosyjskimi nie mogą dojść do końca, weszli w rokowania z delegatami Rady ukraińskiej, która ogłosiła Ukrainę za odrębną od Rosyi rzeczpospolitą i z nimi zawarli osobny pokój, w którym oddali Ukrainie znaczną część ziem polskich z wielką krzywdą Polaków, w zamian zaś za to mają dostać w lecie od Ukrainy zboże.

Rząd rosyjski nie uznał jednak tego pokoju; nie uznał go też drugi rząd ukraiński, przeciwny Radzie, a złożony z delegatów ludu i robotników, tak zwany rząd bolszewicki, który idzie z rządem rosyjskim i nie chce oderwać Ukrainy od Rosyi.

Równocześnie ogłosił rząd rosyjski, że nie zawiera wprawdzie formalnego pokoju z państwami centralnemi, ale znosi stan wojenny między Rosyą a temi państwami i zarządza demobilizacyę, czyli rozpuszczenie wojsk.

Na takie jednak niewyraźne rozwiązanie sprawy, nie zgodzili się Niemcy, a gdy około 20 lutego br. ich armie ruszyły na całym prawie froncie w głąb Rosyi, rząd rosyjski telegraficznie dał znać, że gotów jest zawrzeć pokój z Niemcami na warunkach przez nich podanych.

Wspomnienie pośmiertne o śp. księdzu Józefie Kozaku.

Dnia 26 grudnia zeszłego roku zmarł proboszcz parafii Lachowice, w powiecie żywieckim, ks. Józef Kozak, w 74 roku swego pracowitego żywota.

Był to piękny wzór kapłana i duszpasterza, stojącego mężnie na placówce boju ze złym duchem do ostatniego tchu życia. Gdy mu się wmawiano z pomocą kapłańską, ks. Józef Kozak, zwykł był mawiać: „jeszcze nie czas, jeszcze sił mi starczy“.

Pracy parafialnej poświęcał się ks. Kozak aż do zapomnienia o sobie, bez wypoczynku prawie i wytchnienia, jakby się bojąc, że z nadejściem pomocnika zacznie słabnąć światło i ciepło jego duchowego wpływu na otoczenie, które od tylu lat przywykło do bezpiecznego steru jego silnej ręki i nieugiętej woli.

Śp. ksiądz Kozak nader dbały o dusze swych parafian, troskliwie ich zasłaniał przed złymi wpływami. Z parafii swej wypędził swym energicznym wpływem różnych pasożytników i lichwiarzy, chcących zawojować nasz kraj przy pomocy flaszki z alkoholem, i polityki też między lud swej parafii nie wpuścił, dając mu do czytania starannie dobrane gazetki.

Strzegł też śp. ks. Kozak swych parafian przed szkodliwymi zagranicznymi wpływami i zabezpieczał rzesze sezonowych wychodźców ze zarobkiem, siłą swego słowa z kazalnicy i mocą pokarmu duchownego przy konfesyonale i ołtarzu. Na drogę żegnał dusze oczyszczone, a gdy stamtąd wracały, pragnął je znowu mieć w swoich ukochanych Lachowicach czyste.

Praca śp. ks. Kozaka nad ludem była prawdziwie czystą, i bezinteresowną, a w imię dobra i miłości Kościoła i Ojczyzny. Ani grosza po sobie nie zostawił; wszelki dochód, choć bardzo mały, dawał na cele pożyteczne w miejscu i w całym kraju. Rzadkim był w tej mierze przykładem ofiarnika, który sobie wszelkich wygód odmawiał, nie wiedząc co to jest pobyt w kąpielach, co miękkość materacu, a nawet za ciepłem futrem, choćby z naszych baranów, się nie oglądał.

Kto widział Lachowice przed 30 laty, jako wieś lichą, z kurnemi, dymnemi chatami, z ludem otoczonym pajęczyną lichwiarzy i szynkarzy, a dziś przejdzie się po tej wsi, ten dozna rozpierającej radości na widok nowych schludnych domków krytych dachówką i po części murowanych, na widok ludności zdro-

wej i czerstwej, o wyrazie twarzy, z której promienieje radość życia, nie zrujnowanego alkoholem.

Miło patrzeć, gdy w niedzielę po nieszporach, spotyka się włościan siedzących na ganeczku słuchających, jak młodzież odczytuje im gazetki i broszury, otrzymywane w zakrystyi, lub na probostwie.

Karczmy lub szynku tam się nie znajdzie, za to jest w Lachowicach kilka sklepików chrześcijańskich, oraz dwie piekarnie, a wreszcie co najważniejsze, aż dwie szkoły i to zaledwie na pół tysiąca mieszkańców.

Oto owoc pracy i zabiegów śp. księdza Józefa Kozaka!

Był ten kapłan w całem tego słowa znaczeniu mężem pięknego, dzielnego charakteru, który przykuwał do siebie każdego człowieka miłością i głęboką czcią dla jego rzadko u nas spotykanych zalet, zwłaszcza poświęcenia się i zaparcia. Kochał to, co szczytne i szlachetne a od wszelkiej niskości i niepoczciwości odwracał się ze wstrętem, i tak zręcznie je piętnując, że nie wywoływał odruchu.

Był też powszechnie szanowany, kochany i miał wielu przyjaciół tak w kołach świeckich, jak i duchowych. Cześć pamięci tego niezwykłego kapłana, trzeźwego patryoty i najlepszego przyjaciela.

Franciszek Sypowski
radca wyższego Sądu krajowego.

Choć gromy biją...

Choć gromy biją — stój!
Bo przyjdzie chwila wielka
I nasza rodzicielka
Ocknie się na bój!

Choć gromy biją — trwaj!
Nie bacz na znój!
To obowiązek twój,
By wszedł wolności maj!

Choć gromy biją — wierz!
Choć wszystko pada,
Naokół śmierć, zagłada...
Ty ufność w jutro szerz!

Choć gromy biją — wierz!
Dla nas jutrzenka wschodzi!
Z pętów nas oswobodzi...
Więc zwątpień — ty się strzeż!

Jak mówi Czech — jak mówi Polak!

Tym Niemcom austryackim, którzy w parlamencie i w dziennikach zarzucają Czechom zdradę w tej obecnej wojnie względem Austryi, odpowiedział niedawno w jednej z komisyi Rady państwa czeski poseł ksiądz Zahradnik, że niech sobie Niemcy mówią co chcą, niech wszystkich Czechów zowią zdrajcami, on jednak, jak każdy Czech **„nie zna żadnej austryackiej ojczyzny, on zna tylko swoją czeską ojczyznę!“**

Generał hr. Szeptycki (Polak) opuszczając w lutym br. stanowisko austryackiego gubernatora w Lublinie, wydał okólnik do oficerów (Polaków), w którym przekonywa ich, że nie powinni poddawać się wpływom wypadków, ale pamiętać mają o przysiędze wierności złożonej „ojczyźnie austryackiej“.

ROZMAITOŚCI.

Nieporządki pocztowe i niesumienni ludzie. Niema prawie miesiąca, w którym nie otrzymalibyśmy znacznej ilości reklamacyj i zażaleń od Czytelników, że nie otrzymali tego lub owego numeru „Nowego Dzwonka“.

Już nieraz zaznaczyliśmy i znowu powtarzamy, że gdy kto z Czytelników pisma nie otrzyma, to nie nasza w tem wina, bo my pismo nasze przed każdym pierwszym dniem miesiąca, lub w sam pierwszy dzień na pewno każdemu wysyłamy, a że nie dochodzi do rąk niektórych Czytelników, to winny temu nieporządki pocztowe, spowodowane obecnie wojną, a jeszcze więcej winni tu są różni ludzie bez sumienia, bez czci i wiary, którzy pismo nasze z poczt biorą, i nie oddają komu się należy, ale dla siebie zatrzymują.

Dziś takich złodziei coraz więcej po wsiach naszych, a to bardzo niepochlebnie świadczy o naszym ludzie.

Dobrzeby było, aby Szan. Czytelnicy zwracali uwagę swoim urzędom pocztowym, gdy pisma nie otrzymują, że pismo ginie,

i śledzili za złodziejami, którzy je kradną, a wyśledziwszy ich, donosili o nich żandarmeryi i nam, a my ich albo do sądu zaskarżymy, albo ich nazwiska podamy do publicznej wiadomości, na ich wstyd i hańbę.

Dziękowaliśmy już raz za „naddatki" dołączane do prenumeraty na „fundusz wydawniczy" dla „Nowego Dzwonka" tym Szan. Czytelnikom, którzy je nadesłali w grudniu roku zeszłego.

Teraz zaś dziękujemy serdecznie za te „naddatki" tym znowu, którzy je razem z prenumeratą nadesłali w styczniu i butym b. r.

Jeszcze są tacy Czytelnicy, którzy dotychczas, chociaż już marzec się zaczyna, nie uiścili prenumeraty na rok bieżący, mimo, że pismo nasze biorą i czytają. Przypominamy się tedy ponownie ich pamięci — i prosimy o rychłe nadesłanie należytości, w przeciwnym razie wstrzymamy im od kwietnia b. r. dalszą przesyłkę pisma.

Znowu wielkie nieszczęście kolejowe. W nocy z 9 na 10 lutego, zatrzymano hamulcem pociąg osobowy idący od strony Stanisławowa do Lwowa, koło stacyi Wodniki, w chwili, gdy pociąg wjechał na drewniany most na Dniestrze.

Gdy pociąg stanął, zaczęli ludzie wybiegać z pociągu w stronę lokomotywy, a że nie można było koło niej się przecisnąć, więc wiele osób skoczyło do Dniestru.

Ludzie ratowali się w ten sposób z płonącego pociągu. Gdy po pewnym czasie udało się część pociągu płonącego z mostu ruszyć i odczepić od reszty wozów, pokazało się, że jeden wagon całkiem prawie już był spalony, a sąsiednie zaczęły się palić. Po ugaszeniu pożaru znaleziono w spalonym wozie 9 zwęglonych trupów, podobno przeważnie żołnierzy, a w innych wozach kilkanaście osób lżej lub ciężej poparzonych.

Co było przyczyną pożaru, dotychczas nie stwierdzono. Mówią, że ktoś gotował wodę na herbatę na maszynce spirytusowej i stąd powstał pożar.

Starostwa w Galicyi wschodniej otrzymały napowrót świeckich kierowników w miejsce wojskowych.

Odzyskanie Brodów. Wskutek pokoju zawartego z Ukrainą, opuściły już wojska rosyjskie Brody z okręgiem, i wkroczyły już tam wojska austryackie.

Cała rodzina żywcem pogrzebana. W roku 1914 więcej niż połowa miasta Bełza została przez Moskali w zupełności spalona. W lochu jednego ze spalonych domów żydowskich mieszkała dotychczas pewna rodzina żydowska. Gdy 17 stycznia br. powstał w nocy straszny wiatr, obalił on sterczące i rozmokłe ściany domu, które runęły na sufit lochu zamieszkałego przez ową rodzinę, przytłaczając 5-cioro osób. Dopiero nad ranem spostrzeżono ten wypadek, rozkopano rumowisko, z którego wyciągnięto 5 trupów.

Wędrówki biednych uchodzców. Gazety lwowskie piszą o przykrych wędrówkach, jakie odbywają obecnie uchodźcy wschodnio-galicyjscy. Znajdują się oni porozmieszczani w różnych miejscowościach, a będąc odcięci od swoich sadyb i rodzin, starają się — w czem niema nic dziwnego — przedostać się do swoich.

Więc wyjeżdżają całe gromady z ciężkiemi tobołkami na plecach, w których się mieści całe ich mienie z tułaczki. Dopuszczają ich zazwyczaj aż do Krasnego, tu zaś aresztują ich władze wojskowe, zamykają w aresztach i z powrotem transporują do Lwowa, stąd odsyłają ich szupasem na miejsce, skąd przybyli. Wszystko to dzieje się dlatego, że urzędy wiejskie, nie mając ze strony władz wyższych żadnych poruczeń, lekceważą sobie ludność uchodźczą i nie przestrzegają jej.

Masowy powrót żołnierzy austryackich z niewoli rosyjskiej już się rozpoczął. Władze wojskowe dają im urlop na wyjazd do domów, celem uregulowania spraw rodzinnych, a potem odsyłają do tych grup uzupełniających, które się zajmują dalszem kształceniem żołnierzy w służbie wojennej.

Niemcy wykupują polską ziemię w Królestwie polskiem, zwłaszcza w okolicy Kalisza, Wielunia i Częstochowy, a nadto i kopalnie węgla w Zagłębiu Dąbrowskiem.

Złote myśli i zdania.

Nie, kto ma złoto, ma perły, ma szaty,
Ale, kto na swem przestał, ten bogaty.

Jan Kochanowski.

Co go poprawiło?

Ksiądz proboszcz w Nędzowie właśnie kończył brewiarz, usiadł i chciał wytchnąć. W tej chwili puka ktoś nieśmiało do drzwi.

— Proszę! mówi ksiądz proboszcz. — Otwierają się drzwi i wchodzi włościanka. — Ach! Kłosińska, witajcie, cóż Was tu sprowadza?

— Oj, księże proboszczu, jużem się dawno wybierała, ale nie mogłam się przekonać! Dziś muszę wszystko wypowiedzieć, choć mi to ciężko przychodzi.

— O cóż więc chodzi, Kłosińska, pewnie mieliście jakąś nieprzyjemność?

— Jeszcze jaką? Nie chcę się długo rozwodzić, tylko wprost wszystko wygadam. Już nie mogę dłużej z mężem wytrzymać.

— Taaak! Wszak wasz Szczepan, nim się ożenił, był bardzo porządny chłopak. Jakież skargi macie na niego?

— Ach, księże proboszczu, gdyby człek chciał wszystko opowiadać, toby nie skończył do jutra. Jest dla mnie grubian, jak drwal, zawsze patrzy z podełba, nie dba o dzieci, o gospodarstwo, siedzi do północka w karczmie, gra w karty i w kręgle.

— Rzeczywiście, w kilku słowach wcale poważne skargi, i jeżeli wszystko to, jak mówicie, jest prawdą, to jest mi niewytłumaczoną zagadką, jak mógł Szczepan dojść do tego w tak krótkim czasie. Powiedzcieno, możeście sama temu trochę winna?

— Ja, księże proboszczu? Żeby ksiądz proboszcz wiedział, wiele ja się nastarała, żeby go ze złej drogi sprowadzić. I prosiłam, i kłóciłam się z nim, odmawiam różaniec, a nawet — niech to będzie Bogu nie wymówione — byłam na jego intencyę na Kalwaryi za Krakowem, ale wszystko nic nie pomaga;

zamiast poprawy jeszcze jest gorzej; n. p. dziś rano — tu zaczęła płakać, — dziś rano to nawet;

— No, co, powiedźcie, nie bójcie się!

— I pewnie Was uderzył; to trochę za daleko poszło; musiała być jakaś przyczyna?

— Nie, ks. proboszczu. Wczoraj wieczór przyszedł, jak zwykle, późno i zaczął wyzywać na jedzenie zimne. „Prawdę mówiąc, to ty i tego nie zasługujesz.“ Gdym to powiedziała, powrócił do swojej kompanii. Kiedy potem wrócił, już nie wiem. Dziś zrana już wszystko na nogach, tylko on jeszcze tkwi w pierzynach. Mówię więc: „Ładny z ciebie gospodarz, nie dawaj zgorszenia dzieciom i domownikom. Mógłbyś już wstać, doglądnąć domowników, gospodarstwa. Niezadługo nie będzie czego doglądać, bo przez ciebie zejdziemy na dziadów.“ Zerwał się, zaczął wygadywać, że się z nim źle obchodzę; na to odpowiedziałam mu porządnie, jak zasłużył, wtedy wpadł w taką złość, że się na mnie targnął.

— Czy to było przy domownikach i dzieciach?

— Tak niestety!

— To niedobrze, — ale jest tak: jakiem się zaraz z góry domyśliwał. Niech to będzie bez urazy, ale muszę wam, Kłosińska, powiedzieć, że temu wszystkiemu właściwie sami jesteście winna.

— Ja, ks. proboszczu? Chyba ks. proboszcz żartuje.

— Nie żartuję, lecz mówię, jak czuję i widzę. Kiedy to było, jakieście ostatnie słowo poczciwie dali waszemu mężowi?

— O, już dawno temu! Taki grubian, mruk, nie zasługuje na poczciwe słowo; zawsze się trzymałem przysłowa: Jak krzykniesz w las, tak ci stamtąd echo odpowie.

— I jeszcze chcecie, żeby mąż nie był grubijanem dla was? No, a kiedyście na niego ostatni raz po ludzku popatrzyli?

— Chyba także już bardzo dawno; niedoczekanie jego!

— A więc widzicie, że skargi wasze zupełnie są niesłuszne. Jakże możecie żądać, żeby mąż był dla was serdeczny, żeby go ciągło do domu i do dzieci, jeżeli powagę jego podkopujecie wobec służby i dzieci? Musicie od dziś zupełnie inaczej obchodzić się z mężem. Gdybym ja był na jego miejscu, to pewnie także musiałbym uciekać z domu do towarzyszy, do szulerki, do kręgli.

— Ależ, księże proboszczu, to rzecz trudna. Cóż na miły Bóg mam zrobić?

Bądźcie cierpliwą i uprzejmą, tak, jak byliście przed ślubem i jak przystoi chrześcijańskiej niewieście. Na grubijaństwa trzeba odpowiadać uprzejmością, czem więcej on uchyla się od rodziny, tem więcej wy starajcie się odczuwać i z oczu czytać jego myśli, i to uczynić.

— Księże proboszczu, za wielkie wymagania, to nie zgadza się z mym charakterem.

— Z waszą pychą, powiedzcie raczej. A w takim razie pocóż u mnie szukacie rady? Jako duszpasterz, z pewnością radzę Wam najlepiej. Postąpcie tak tylko na cztery tygodnie. Zobaczymy. Zgoda?

— Tak, wiem, że ks. proboszcz dobrze myśli. Sprobuję chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo mi to w smak.

Po tych słowach odeszła.

Gdy wróciła do domu, zastała męża, jak tarcice znosił do szopy. Najstarszy chłopiec siedział na kamieniu i przypatrywał się.

— Grześ, czemu siedzisz i próżnujesz, nie możesz ojcu dopomódz?

Chłopak posłuchał, a Szczepan nie mało się zdziwił. Jeszcze większe było jego zdziwienie, gdy przyszedł na obiad i zastaje wieprzowinę z kwaśną kapustą; to właśnie on lubi, a nie było tego już od niepamiętnych czasów.

Potem patrzy a tu kobieta jego przegląda jego odzienie, naprawia itd., przedtem musiał biedaczysko sam, jak umiał, guziki przyszywać, cerować, łatać.

Z każdym dniem jakoś rozjaśniało się i pogodniało dawniej chmurne i zasępione pożycie małżeńskie. Nie było już słów dokuczliwych, opryskliwych, a Szczepan, z gruntu niezły człowiek, szedł o lepsze w uprzejmości. Po mału zapomniał o towarzyszach, o szulerce, o szklance: w domu było lepiej. Któregoś dnia — nie upłynęło jeszcze cztery tygodnie, spotyka oboje ksiądz proboszcz.

Kobieta zarumieniła się: Bogu dzięki, rada ks. proboszcza była dobra. Już znów mogę z nim wytrzymać.

— Dobrze, rzekł proboszcz i obojgu uścisnął rękę. „Starajcie się, żeby Was szczęście nie opuściło. Szczęście małżeńskie, to tak, jak zwierciadło; tylko na nie tchniesz, a już się zamąci. Pamiętajcie, jakeście sobie mówili: I ślubuję ci miłość, cześć; tak mi dopomóż, Panie Boże wszechmogący, w Trójcy jedyny. i wszyscy Święci!“.

Nie doczekał.

Wiosna była na dobre. Słonko coraz wcześniej budziło się ze snu na niebie. Blade promienie słoneczne nieśmiało zaczęły pieścić matkę — ziemię. Ciepłe wiatry powiały. Zielona trawka powoli wydobywała się na powierzchnię ziemi. Sasanki wychyliły ciekawie główki po łąkach pachnących. Czując wiosnę w powietrzu, bydełko pomrukiwać poczęło w oborach. Konie raźno parskały po stajniach. Skrzydlate ptactwo i owady wdzięcznie zagrały w szlakach powietrznych. Jasność, wesołość i gwar wszędy. Obudziło się życie, życie idzie nowe, wielkie, potężne, nowej wiosny życie.

Tylko Stach stary, co mieszkał w chacie pod lasem, był jakoś smutny, cości mu dolegało niby ciężki kamień na duszy: ani poszum wiosennego wiatru, ani śpiewność ptactwa, ani wesołe pomruki bydełka, nawet blaski słoneczne, sypiące się całą siłą do chaty Stachowej, nie w mocy były przemienić boleści starca.

Wsparty rękoma na oknie, Stach siedział milczący, wzrok zatopił gdzieś w dal bezbrzeżną, wielką jak ból jego. Sucha twarz, stara do szczętu wybladła, wybielała niby opłatek biały. Niebieskie starcze oczy coś przyćmiły się mocno, a z oblicza spłynęły dwie duże łzy ziarniste. Łońskiego roku zmarła mu żona, ukochana Maryś. Ludziska gadali, iż ją suchoty zabiły. Stach radby za nią w mogiłę, lecz Pan Bóg trzyma na świecie. Widać, że jest potrzebny jeszcze, ma żyć dla Jasia. Jasio to jedyne rodzone dziecko na świecie. Jasio to wierny obraz ukochanej nieboszczki Marysi, to najdroższa po niej dla starego pamiątka. Jasio ma lat 15, a taki już mądry. Pięknie się uczy w mieście, będzie podporą, chlubą ojcową. Starzec śni o tęczowej przyszłości chłopca. Serce ojca poi się nadzieją błogą, wzrok i czoło starcze rozpromieniły się pogodnie. Lecz szczęście to gość rzadki na świecie. Ledwie ręce starzec wyciągnął, by szczęście schwytać, a wnet prysnęło, znikło, niby różnokolorowa bańka mydlana.

Cości źle słychać z miasta, gdzie Jaś przebywał: idą listy za listem, że Janek chory, że już legł do łoża i naukę przerwał. Znowu cios nowy uderzył w zbolałe serce starego Stacha.

Doktorzy każą Janka wywieźć daleko w górskie strony. Ojciec na to nie ma. Wraca Jaś do starej chaty pod lasem. Zda się, iż szmer lasu, zapach pól rodzinnych, troska ojcowa ser-

deczna przyniesie ulgę, ukoi, wyleczy... lecz próżne nadzieje. Choremu nic nie pomaga.

Pobielała z bólu więcej głowa starego ojca, krew ścięła mu się w żyłach na widok chorego jedynaka. „Wolej mnie iść w grób za nieboszczką, niż patrzeć na mękę Jasia,“ powtarzał zbolały Stach do siebie. Do szczętu zmęczony bezsennością u łoża chorego, wreszcie zasnął stary ojciec.

Spał snem krzepkim, długim, kojącym... I śniło się staremu, że Jaś zdrów, piękny niby dorodne jabłuszko, że wyrósł wysoko niby piękny dębczak na wiosnę. Widział we śnie Janka, pracującego dzielnie na pożytek ludzi, widział, że go wszyscy uważają, szanują, a ten blask syna spada na jego starczą głowę. Zafalowała znękana pierś ojcowa we śnie, odetchnął głęboko i przebudził się i przypomniał sobie, iż to wszytko złudzenie, że on śnił tylko, a biedny Jaś leży chory, trawiony gorączką.

„Ha,“ pomyślał Stach zbolały, nie trzeba mi upadać na duchu, kiedy ludzka pomoc beskuteczna, udam się do Bożej; robiłem co mogłem, chyba Bóg mnie nie opuści, wesprze, pocieszy; ofiaruję Jasia swego Matce Najświętszej w Częstochowie. Wiara wielka i otucha pokrzepiły starca. Nowy promyk nadziei zaświtał w duszy zbolałej. Tak. Pojedzie na Jasną Górę do Tej, co jest Uzdrowieniem chorych, co Pocieszycielką strapionych... a syn będzie uzdrowion.

Był skwarny lipiec. Pogoda piękna stała na dworze. Pszczoły roiły się po ulach. Drzewa uginały się pod ciężarem owoców. Naładowane zbożem dorodnym wozy skrzypiały zdaleka. Ludzie mieli za co Panu Bogu podziękować i Jego Najświętszej Matce. Jakoż szykowano się z kompaniami na Jasną Górę na Wniebowzięcie.

Zdala co i raz słychać, było w chacie pod lasem warczenie bębnów, pobożne pieśni rozśpiewanych pątników, dążących do Jasnogórskiej Królowej, oraz muzykę kościelnych dzwonów. Stary Stach szykować się zaczął do drogi. „Tatulu, czego tak głośno dzwonią?“ Słyszę i piękne pobożne śpiewy i odgłosy bębnów. „Tatulu, czy wy szykujecie się dokąd w drogę? a może wy na odpust Wniebowzięcia?...

— Tak! — przerwał ojciec. Jaś szeroko otworzył ciekawe oczy. Ceglasty rumieniec wystąpił na wychudłe lica chłopięcia i jął głośno wołać: „Zabierzcie i mnie ojczulku, na odpust na Wniebowzięcie na Jasną Górę. Czy widzicie, jak biała w promieniach Pani zstępuje po mnie z tego obrazu, co na ścianie

wisi?... ona niesie leki dla mnie, będę zdrów... jedźmy na odpust... Lecz wnet ucichł. Siły go opuszczać poczęły; wargi pobladłe coś jeszcze wyszeptały i... skonał... nie doczekał odpustu.

Na Wielki Tydzień.

(Legenda.)

Ruben i Elsafar biegli szybko pod górę, chcieli bowiem być pierwszymi, którzyby to widzieli. Biegnąc, spoglądali raz po raz na siebie i uśmiechali się. Nareszcie rzekł Ruben.

— Czy on się bronić będzie?

A Elsafar odpowiedział:

— On się jeszcze nigdy nie bronił. To nie jest jego zwyczajem. Ale pójdź prędko, drobne kamyczki nogi nam ranią, podaj mi rękę i oprzyj się na mnie!

I ująwszy ramię o wiele starszego Rubena, prowadził go pod stromą górę, na której wysokie trawy i kwiaty poruszały się lekko pod powiewem ciepłego wietrzyka. Ale na niebie zaczęły się zbierać wiosenne chmury.

— Widzisz te czarne chmury? — szepnął nagle Ruben przestraszony. — Ciągną one wprost na Jerozolimę!

Elsafar rozśmiał się szyderczo.

— Nawet i one, — chcą być świadkami chwili, w której on przeklinać będzie swoje własne nauki.

— Wierzę, wierzę, — potwierdził Elsafar i uderzył kijem tak silnie o kamień, leżący nad drogą, że ciężki ten odłam skały stoczył się z głuchym szelestem na dół.

Teraz stanęli obydwaj na górze i spojrzeli na miasto, leżące w dziwnem i niezwykłem oświetleniu. Na zachodzie kłębiły się gęste, czarne chmury, na stronie północnej było niebo jasne jeszcze, lecz bez najmniejszego blasku, jak ołowiane, od południa ciągnęły chmury żółto-czerwone i szare i tylko na zachodzie, tam gdzie słońce dawno już znikło, jaśniał jeszcze wąski rąbek błękitu.

— Nawet niebo jest mu wrogiem i zniszczenie jego zbliża się z północy i południa, — odezwał się Elsafar, pomagając przyjacielowi wejść na ostatnią małą wyżynę. — Ach, jaki to będzie widok!

— Stąd zobaczymy wszystko najlepiej! — zawołał Ruben. — Trzymajmy się tylko tych krzewów. Ale patrz, — dodał, — uderzając lekko ręką cienkie gałązki olszyny, — to ptak!

I rzeczywiście! Pomiędzy gęstemi listkami i gałązkami trzepotał się lękliwie mały, szary ptaszek.

— Zaplątał się w gałęziach!

— Zabij go!

— Ach nie, o tam ma swoje gniazdko! Patrz te małe ptaszyny!

Ruben i Elsafar zbliżyli się teraz i z zajęciem patrzyli na gniazdko ptaszka. Były tam cztery maleńkie ptaszki, przytulone do siebie, szare, nie zupełnie jeszcze wypierzone, z otwartemi dzióbkami i wyciągniętemi szyjkami. A matka ich podlatywała, trzepotała skrzydełkami i piszczała żałośnie. Lecz nagle wyrwała się z krępujących ją gałązek, podleciała wysoko i okrążała gniazdo swoje.

— Śmieszne wróble, — rzekł Elsafar.

— To nie wróble, — odparł Ruben. — Są też szare wprawdzie, lecz stara ma o wiele jaśniejsze i ładniejsze piórka.

— Ale kolor jednostajny, bez najmniejszej odmiany. Widać, że ptak ten Bogu miłym nie jest, inaczej bowiem ładniejsze byłby mu dał piórka!

— Mnie się zdaje, że ptaszek przeczuwa zbliżającą się burzę i dlatego lata taki niespokojny. Ptaki mają mało rozumu, ale przeczuwają każdą zmianę powietrza.

— Albo też niebezpieczeństwo! Ludzie przyjdą tu i zburzą gniazdko. Patrz, jakie tłumy tu ciągną!

— Widzę! Tysiące ludzi! Słyszę krzyki! Pędzą tu jak, czarna chmura! Gotowi dom zburzyć!

— Jaki to krzyk? Słyszysz?

— Golgota! Golgota!

— Żądza mordu przepełnia powietrze!

Ruben i Elsafar stali i patrzeli na ulice Jerozolimy. Ciekawość paliła ich i miłe uczucie radości napełniało ich serca. Wiedzieli, że ujrzą coś nadzwyczajnego, cieszyli się na to i pragnęli przyspieszyć tę chwilę.

Tłumy wstępowały na górę z coraz głośniejszemi okrzykami. Coraz barwniejszym stawał się obraz tysięcy ludzi, coraz ciemniejszemi chmurami pokrywało się niebo.

— Patrz! patrz! — zawołał Elsafar. — Tam idzie on! Ugina się pod ciężarem krzyża! Patrz! To trzeba opowiadać naszym dzieciom i wnukom! Wszystkim opowiemy o tem w Magdali! Widzisz Nazareńczyka?

— Tak! — syknął Ruben uradowany, a oczy jego błysnęły okrutną nienawiścią.

Tłum pędził, krzyczał i wył, jak horda dzikich zwierząt.

— Śmierć królowi żydowskiemu! Śmierć fałszywemu prorokowi! Śmierć bluźniercy! Ukrzyżujcie go! Ukrzyżujcie go!

A Nazareńczyk upadł pod ciężarem krzyża u stóp swojej matki. I wtedy przywlókł tłum dwóch złoczyńców, którzy też mieli być dziś karani krzyżową śmiercią i ci także musieli nieść swoje krzyże. Złoczyńcy płakali i jęczeli — Nazareńczyk zaś miał twarz spokojną, pogodną i ani jednego słowa skargi nie wymówił.

Teraz zdarto z niego szaty!

Ruben zbliżył się do Elsafara.

— Patrz, — rzekł, — jakie on piękne ma ciało! A ta jego twarz! Jaką słodycz wyraża! Wcale się widać śmierci nie boi.

— Piękny on, doprawdy, — szepnął Elsafar bez tchu nieomal. — Jeszcze nie widziałem tak spokojnego i poważnego złoczyńczy. — A może on nie jest tak złym i przewrotnym, jak mówią?

Ruben nie spuszczał oczu z Nazareńczyka, którego ręce przybijano właśnie na krzyż?

— Elsafar! — szepnął.

— Czego chcesz?

— To król!

— Pleciesz stary.

— To nie człowiek! Tak żaden człowiek nie cierpi! A jeżeli nauki jego były prawdziwe? On nic nie odwołuje! Nie

płacze i nie przeklina nikogo! Kto to jest?

— Nazareńczyk, nie więcej! Oszust! Ale co to, bledniesz, co ci jest?

— On spojrzał właśnie na mnie! I to z wyrazem Boskiego przebaczenia! Ach, jaki on wielki! To król! król!

W tejże chwili wzniesiono krzyż. Ruben stał i patrzał — i drżał całem ciałem. Oczy Ukrzyżowanego zwróciły się na Elsafara, który mimowoli cofnął się i spuścił głowę.

— Teraz spojrzał na ciebie, — szepnął Ruben. — Czemu nie wytrzymałeś jego wzroku?

— Nie mogę! Moje grzechy patrzą na mnie z jego oczu!

— Twoje grzechy? Moje także! — jęknął Ruben.

Nagle uciszyło się wśród tłumu i w powietrzu, na górze głęboka zapanowała cisza, tak jak gdyby miało się stać coś okropnego, wstrząsającego całym światem! I teraz dał się słyszeć głos jasny i dźwięczny!

— Ojcze przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!

— Co on mówił? — szeptali ludzie.

— Do kogo mówił?

— Prosił o przebaczenie? Nie dla siebie, tylko dla nas? Kogo prosił? Swojego Ojca? kto to jest?

— To nie człowiek! Słuchajcie, to nie człowiek!

I znów zawrzało w tłumie. I krzyki przeszywały powietrze i wstrząsały serca Rubena i Elsafara. Nieśmiało, lękliwie podnieśli oczy na śmiertelnie bladą twarz Ukrzyżowanego i na oczy jego, które zamknąć się jeszcze nie chciały.

Nagle mignęło coś z pomiędzy gałązek krzewu. Elsafar zadrżał, jak gdyby ktoś był poruszył jego sumienie.

— Patrz! — zawołał, — ten szary ptaszek...

I z cichym jękiem poszedł kilka kroków naprzód, do krzyża.

— Patrz, — dodał, — ten ptak leci do Ukrzyżowanego! Wznosi się aż do korony cierniowej na jego głowie — świergoce — kwili.

— Ach! Co to znaczy?

A szara ptaszyna trzepotała gwałtownie skrzydełkami nad głową umierającego. Podlatywała, zniżała się, znów wzlatywała i nagle, usiadszy na ręce Ukrzyżowanego, zaczęła jak szalona uderzać dzióbkiem w drzewo. Drobniutkie wiorki spadały z drzewa na głowę klęczącej i zrozpaczonej Matki Ukrzyzowanego.

— Co ten... ptaszek... czego on chce...? — szeptał Ruben jak nieprzytomny.

— On chce wyciągnąć gwóźdź z ręki Nazareńczyka! Chce go uwolnić! Patrz, jak dzióbie zawzięcie drzewo!

— Ach! Uwolnić Ukrzyżowanego!

— A my nie ratujemy go!

Ptaszek pracował tymczasem dalej. — Ruben patrzał i zaczął się śmiać, lecz był to śmiech bezsilnej rozpaczy.

— Zwierzęta, — szeptał, — zwierzęta nie opuszczają go i kochają go, a my ludzie — pragniemy jego śmierci! Rozumiesz ty to, Elsafarze?

Zaledwie to wymówił, gdy nagła ciemność objęła miasto i górę. Zdawało się, że czarne chmury spadły z nieba i okryły ludzi. Z przerażającym hukiem otworzył się firmament, jasny promień strzelił i otoczył głowę Nazareńczyka i znów wśród śmiertelnej ciszy dały się słyszeć ostatnie słowa jego:

— Ojcze, w ręce twoje oddaję ducha mojego.

Potem zamknęło się niebo, lecz ziemia pękała i straszny łoskot piorunów napełniał przerażeniem rozszalałą tłuszczę.

— Biada nam! To Syn Boży! — krzyczały kobiety.

— Chciał nas zbawić! Syn Boży! Biada nam! — krzyknęli mężczyźni.

Zamieszanie i popłoch były nieopisane. A grzmot huczał straszliwie i krwawe błyskawice rozdzierały czarne chmury.

Tłum ryczał i wył z przerażenia i trwogi.

Ruben bił się w piersi, Elsafar zaś upadł na kolana.

Nagle upadł u stóp ich mały, szary przedmiot. Ruben podniósł go — był to ów szary ptaszek, pragnący ratować Zbawiciela.

— Cóż to? — szepnął starzec, — ptaszek spadł z krzyża przyszedł do nas...

— Tak, i przyniósł nam ostatnie pozdrowienie umierającego Syna Bożego, Boga-człowieka! Rubenie! On nas zbawił!

— Tak, jesteśmy krwią jego odkupieni! Patrz!

I Ruben podniósł ptaszka, siedzącego na ręce jego zupełnie cicho i spokojnie. I teraz zauważyli obydwaj, że gardziołko ptaszyny nie było już szare, tylko czerwone — czerwone krwią Odkupiciela, którą maleńkie to stworzenie pokrwawiło sobie szyjkę przy daremnej swojej pracy nad wyciągnieniem gwoździ z rąk Ukrzyżowanego.

Drżącemi rękami zaniósł Ruben ptaszka do gniazdka, które jak gdyby cudem pozostało nietknięte i ułożył go przy młodych ptaszynkach. Z radosnem kwileniem garnęły się dzieci do matki, otwierając dzióbki i żądając jedzenia — i teraz stało się znów

coś nadzwyczajnego: do każdego otwartego dzióbka spłynęła z dzióbka matki drobniutka kropelka krwi i szyjka przybrała natychmiast barwę czerwoną.

Zwolna poczęły pioruny ustawać, grzmot przebrzmiał, lecz zasłona świątyni w mieście była na wpół rozdartą. A Ruben patrzał ciągie jeszcze w gniazdko odważnego ptaszka, który zbliżył się do Boga.

— Ten ptak zebrał krew Jego! — rzekł wzruszony do swojego przyjaciela.

— Krew, którą dał za nas! A my nie rozumieliśmy tego.

— Ptak go zrozumiał!

Lecz Elsafar potrząsnął głową.

— Nie zrozumiał, tylko przeczuł go, — rzekł i ucałował z czcią szyjkę ptaszka, zabarwioną krwią Chrystusa.

Ptaszkiem tym jest czerwonogardlik, czyli raszka.

TO I OWO.

Ilu jest jeńców — Polaków w Austryi i w Niemczech?

Tygodnik „Jeniec“ wydawany przez jeńców Polaków w obozie w Gardelegen, w Niemczech, oblicza w jednym z ostatnich swych numerów, że Polaków, byłych żołnierzy rosyjskich wziętych do niewoli, jest w Niemczech i w Austro-Węgrzech 75 do 80 tysięcy, z czego podobno 10 tysięcy chciało się zapisać do wojska polskiego.

Z galicyjskich stosunków.

W roku 1913 — jak wykazują obliczenia z tego roku, było w Galicyi: kościołów parafialnych 2779, szkół ludowych 6151, a szynków 23 tysiące 133, a więc blisko 8 razy więcej niż kościołów, a 3 razy więcej niż szkół.

Nic teraz dziwnego, że u nas pijaństwo kwitło i kwitnie, a z niem idzie w parze głupota, upadek zdrowia u setek tysięcy osób i kij żebraczy.

Dzięki karczmarzom, pijaństwu i lichwie, już prawie jedna trzecia część ziemi przeszła w Galicyi w ręce żydów.

Jakże inaczej jest w Norwegii! Podczas gdy u nas 1 szynk przypada na 347 mieszkańców, to w Norwegii 1 szynk przypada na 13 tysięcy mieszkańców. To też u nas ciemnota, nędza i charłactwo po wsiach i miastach, a w Norwegii lud oświecony i zdrowy.

Zabawne wydarzenie w sądzie.

Działo się to w jesieni roku zeszłego w Toruniu, w Prusiech. Przed sądem niemieckim stawał pewien gospodarz polski oskarżony o to, że krowa jego narobiła sąsiadowi wiele szkody w polu.

Oskarżony bronił się tem, że krowa jego „pogziła się", czego jednak ani sędzia nie rozumiał, ani tłumacz sądowy nie umiał tego na niemiecki język przetłumaczyć.

Wtedy ów wieśniak wsadził kij pod przedłużenie swych pleców, i robiąc niby ogon, począł, wywijając kijem, biegać po sali, przyczem porozrzucał kałamarze, papiery i księgi sądowe. Potrzeba było energicznego krzyku sędziego i wkroczenia woźnego, by wieśniaka uspokoić. Zgromiony przez sędziego, odpowiadał, że tak właśnie krowa „się gzi". Podobno uwolniono go od kary za niesforną krowę.

Mąka z nieba.

Na linii kolejowej Wiedeń Neuhäusel tuż za stacyą Neuhäusel, zobaczono pewnego niedawnego dnia wysoko wśród obłoków jakiś czarny punkt, który coraz się zwiększał i zbliżał ku ziemi.

Wnet zebrała się gromada ciekawych ludzi, a wśród nich znalazł się i naczelnik stacyi, obserwując ów czarny punkt, w którym po chwili rozpoznano zwykły worek. Naraz worek ów spadł na naczelnika, który nie usunął się rychło na bok i z worka wysypała się mąka. Widocznie ktoś jadący samolotem, zabrał na Węgrzech worek mąki, przywiązał go do samolotu i chciał przemycić przez granicę węgierską do Austryi. Tymczasem worek prawdopodobnie się odwiązał i spadł na wspomnianej stacyi.

Cnotliwi Chińczycy.

Ktoby jeszcze wątpił o tem, że Chińczycy są najcnotliwszymi ludźmi na świecie — tak piszą gazety francuskie, — ten niech posłucha, co się stało w mieście Breście.

Jest tam kolonia chińskich robotników. Mają oni to nieszczęście, że kobiety francuskie w Breście natrętnie się do nich umizgują i prześladują ich wprost swemi zalecankami. Tak się temi umizgami Francuzek Chińczycy zgorszyli, że wysłali do ministra marynarki prośbę, prosząc o opiekę dla swej cnoty przed rozwydrzonemi Francuzkami.

FIGLE I ŻARTY.

Słoninka.

Przysłał komuś dobrodziej ze wsi funt słoniny;
Martwi się biedny człowiek, robi smutne miny,
Gdzie schować rzecz tak cenną, w tak niepewnym czasie;
W końcu zamknął słoninkę — aż w żelaznej kasie.

Miłe mieszkanie.

Pan (wynajmując letnie mieszkanie). Tak, to mieszkanie podoba mi się; muszę wam jednak powiedzieć, że moja żona jest bardzo ciężko chora.

Gospodarz: To nic nie szkodzi, tu w tem mieszkaniu już kilku letników umarło.

Jak żyd żyda oszukał.

Dwóch kupców żydowskich przybyło do Wiednia, aby zakupić towarów. Fabrykant, od którego znaczną ilość wyrobów kupili, poprosił ich na obiad. Przy końcu obiadu podano kawę w filiżankach ze srebrnemi łyżeczkami.

Jeden z żydów myśli sobie: „Aj waj, toby był geszeft, taką łyżeczkę przywieść z Wiednia na pamiątkę". Pokusa była silna, więc żyd w końcu cichaczem łyżeczkę wpakował do buta.

Drugi żyd zważał pilnie na jego poruszenia, bo i on chciał ukraść łyżeczkę, ale obawiał się, żeby kto nie widział, a dwie łyżeczki ukraść, byłoby za bardzo widocznem. Przemyśliwał więc, jakby swemu koledze łyżeczkę odebrać.

Niedługo powstał i tak przemówił: „Moi szanowni państwo, podaję do wiadomości, że jestem kuglarzem. Oto biorę łyżeczkę, kładę do mej kieszeni, a co powiecie na to, że łyżeczka jest u mego kolegi w bucie na prawej nodze?".

Drugi żyd udaje zadziwienie, sięga do buta i wyciąga łyżeczkę, a ów pierwszy żyd zatrzymał schowaną łyżeczkę.

Chłopski rozum.

Adwokat: Jakto, już na wiosnę mieliście zatargi z sąsiadem, a dopiero teraz zbiliście go?

Chłopek: Bo to, proszę pana, u nas gospodarzy zimą więcej czasu do odsiadywania kary.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**
Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8. — Pod zarządem J. Borkowicza

Ratujcie sieroty!

W zakładzie sierót, utrzymywanym w Kochawinie, w dyecezyi lwowskiej, przez ks. prałata Trzopińskiego, panuje obecnie, z powodu wojny, wielki niedostatek, bo trzeba ubogie sieroty wyżywić i przyodziać, a ksiądz prałat Trzopiński na to funduszów nie ma.

Prosi tedy ksiądz prałat wszystkich ludzi miłosiernych, by ratowali jego sieroty i dopomogli im przez sprzedawanie między znajomymi książeczek z **„Nowenną do Najśw. Maryi Panny w Kochawinie"** i książeczek o Kochawinie samej.

Dochód z tych książeczek idzie na utrzymanie sierot.

Pamiętajmy co powiedział nasz Zbawiciel, Chrystus Pan, zachwalając miłosierdzie względem bliźnich: „coście jednemu z tych uczynili, mnieście uczynili".

Po książeczki należy się zgłaszać do **Redakcyi „Nowego Dzwonka"**, lub wprost do księdza prałata i proboszcza J. Trzopińskiego w Kochawinie (poczta Hnizdyczów — Kochawina).